

Gość Niedzielny



Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na Niedzielę piątą po Świątkach

- Lekcja.

1 Piotr III. 8—15.

Najmilsi! Wszyscy w modlitwie bądźcie jednomyślni, spółcierpiący, braterstwa miłośnicy, miłosierni, skromni, pokorni; nie oddawając złego za złe, ani zło-rzeczności za zło-rzeczność; lecz przeciwnym obyczajem błogosławiąc; gdyż na to jesteście wezwani, abyście błogosławieństwo dziedzictwem posiadli. Albowiem kto chce żywot miłować i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego, i usta jego niech nie mówią zdrady. Niech się odda od złego, a niech czyni dobrze: niech szuka pokoju, a niechaj go ściga. Albowiem oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy jego ku prośbie ich. Lecz twarz Pańska na działające złości. I któż jest coby wam zaszkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie? Ale i choć co cierpicie dla sprawiedliwości, błogosławieni jesteście. A strachu ich nie strachajcie się, ani sobą trwożcie. Lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

Ewangelja.

Mat. V. 20—24.

W on czas mówił Jezus uczniom swoim: Jeśli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż Doktorów zakonnych i Faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż rzeczono jest starym. Nie będziesz zabijał, a ktoby zabił, będzie winien sądu. A ja wam powiadam, iż każdy który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swemu, Raka! będzie winien rady. A ktoby rzekł, głupcze! będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, iż brat twój ma nieco przeciw tobie: zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwaj zjednać się z bratem twoim; a tedy przyszedłszy ofiarujesz dar twój.

Pomoc św. Antoniego

„Jedź z Bogiem, chłopcze!” mówił ojciec robiąc znak krzyża nad głową Macieja. „Nie zapomnij twego dworku rodzinnego ani starego ojca. I zostań uczciwym człowiekiem w mieście!”

„No, no, odjeżdżaj,” dodał stary nie chcąc pokazywać synowi łez ciskających mu się do oczu.

Maciej pocałował ojca w rękę i skoczył na wóz. Konie ruszyły.

Chłopiec długo jeszcze spoglądał wstecz na piękny biały dworek staropolski z sercami powycinanymi w drewnianych okiennicach, leżący w cieniu dwóch lip rozłożystych. Na jednym z ich pni był przybity obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, starym obyczajem polskim. Tam w wieczory, majowe wszyscy domownicy zbierali się, by wspólnie odmawiać różaniec i polecać się wraz z całym domostwem jej możnej opiece.

Tam na ławeczce dawnymi latami siadała jego matka z robotą w rękę, a mały wtenczas Maciuś uganiał się z psami po trawniku. Gdy zmęczony zabawą, siadał u jej kolan, gładziła go ręką po jasnych włosach, opowiadała mu o Częstochowie i cudownym obrazie Matki Boskiej i czytała mu śliczne legendy o tej świętej opiekunce i św. Atonim, którego szczególnie czciła.

Teraz musiał opuścić ten miły dworek, bogaty w tyle wspomnień.

Zagroda była uboga, ojciec musiał wyposażyć jego dwie młodsze siostry, więc nie wiele mógł przekazać synowi, a nie chciał, by jego jedynak miał cierpieć nędzę. Ponieważ chłopiec był zręczny i okazywał dużo dobrego gustu, postanowił posłać go do miasta, do swego dawnego kolegi szkolnego, złotnika, by wyszkolił chłopca w swem rzemiośle. —

Szybko minął pierwszy rok nauki. Przełożony jego bardzo był z niego zadowolony, dawał mu już trudniejsze prace do wykonania i nie mógł się nachwalić swego ucznia. Z zadowoleniem widział też, że jego córce, pięknej Anusi, podobał się sprytny uczeń, bo lepszego zięcia nie mógł sobie życzyć.

Ponieważ ojciec Macieja niedomagał i obawiał się, czy następną zimę przeżyje, poprosił listownie przyjaciela, by zwolnił syna na jakiś czas, aby się stary ojciec mógł jeszcze nacieszyć jego widokiem. —

Jakaż była radość, gdy Maciej powrócił. Wylał dnia, zmęźniał i nabył miejskiej oglady. Siostry patrzyły na niego z szacunkiem prawie, a ojciec z niewymowną dumą. Radość jeszcze była większa, gdy Maciej wydobyl dowody swej zręczności. Piękną srebrną tabakierkę własnej roboty z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej dla ojca, a dla siostr zręcznie ozdobione turkusami (drogocenne kamienie) medaljoniki.

Najwięcej cieszył się Maciej sam, że był znów w domu. W mieście mimo wszystkich rozrywek i miłej

Anusi, tęsknił zawsze za białym dworkiem, za lipami, trawnikiem i dalekimi polami. Teraz mógł znowu używać swobody i dokazywać jak za lat dziecińczych.

Pewnego dnia, gdy wrócił właśnie z lasu z długiej przechadzki, zobaczył, że przed dom zajęchała bryczka. Podbiegł zdziwiony, bo goście nie często zajeżdżali do samotnego dworku. W bryczce siedział bogaty dzieciak z sąsiedniej wsi.

„Dobrze, żeś w domu, kawalerze“, wołał już z dala na Macieja, którego znał od lat dziecięcych, „rozeszła się już twoja sława, że taki majster z ciebie i trafiła i do mnie. Ot widzisz, mam tu robotę dla ciebie. Masz tu ten pierścień, oprawa mi się niezbyt podoba i rozluźniła się, obawiam się, żeby mi ten drogocenny kamień nie wypadł. Ale strzeż mi go dobrze, bo ten kamień, to klejnot rodzinny, pamiątka po mojej babce. No, do widzenia, spieszno mi. Za tydzień znowu tu zajadę i pierścień zabiorę.“

Maciej uklonił się nisko. Zlecenie to było dla niego zaszczytem. Pobiegł do swej izdebki i oglądał piękny, wielki rubin, szacując jego wartość i zastanawiając się, jakby najlepiej oprawę zmienić. Pierścień cudownie się migotał w słońcu.

Wtem siostra zawołała na niego z podwórza, że żrebiec wyrwał się ze stajni i trzeba go schwycić.

Czempredzej położył pierścień na stoliku i pobiegł na pomoc siostrze. Potem podano obiad i gdy ojciec udał się na drzemkę, a siostry zajęły się pracą domową, powrócił do siebie.

Pierwsze jego spojrzenie padło na stolik, gdzie zostawił klejnot.

Ale jakże struchlał — stolik był próżny!

Maciej zbladł, kolana ugły się pod nim.

Począł szukać na podłodze, zaglądał w każdą szczelinę między deskami, przetrząsał stolik, przewracał wszystko w pokoju, odsunął szafę, łóżko, pozaglądał we wszystkie szuflady, pudełka. Pierścień znikł. —

Wiedział, że w czasie jego nieobecności, nikt nie był w jego pokoju. Wszyscy byli zajęci na dole, potem jedzono obiad. Stary Jan, służący ojca i kucharka byli z gruntu uczciwi, ich nie mógł podejrzewać. Nikt obcy nie był w domu.

Biedny chłopiec szukał do wieczora. Przy wieczorze nie mógł nic przekonać. Wymówił się bólem głowy, nie chcąc niepokoić ojca i siostr.

Noc przepędził bezsennością. Nie mógł pojąć tego nieszczęścia. I to jeszcze go właściciel przestrzegał, żeby dobrze strzegł tego klejnotu. Cóż on o nim pomyśli? Nagle nasunęła mu się myśl straszna. Jeżeli mu nie uwierzy, że pierścień znikł bez jego winy! Jeżeli posądzi go o kradzież! Biedny chłopiec aż zapłakał. Ojciec nie przeżyłby takiego ciosu. A cóżby poczęły siostry, gdyby brat stał pod podejrzeniem złodziejstwa? A Anusia, ona taka rzetelna i szczerą, nie oddałaby ręki złodziejowi!

Złożył ręce, ale nawet modlić się nie mógł.

Nad ranem uspokoił się nieco i zaczął rozważać możliwości, gdzieby się pierścień mógł podziąć. Przypomniało mu się że czytał o częstych kradzieżach klejnotów przez sroki. Wszak wczoraj na płocie siedziała sroka.

Zaraz z rana zerwał się na nogi. Na wierzbie za podwórzem było gniazdo srok. Wdrapał się na drzewo, sroki uleciały z krzykiem. Przejrzał całe gniazdo, wszystkie szczeliny, pierścienia nie było.

Zrozpaczony powrócił do siebie. Wzrok jego spoczął na wizerunek św. Antoniego. Z całą ufnością padł na kolana i modlił się o pomoc.

Otucha wstąpiła w jego serce. Mógł się tak opowiadać, że nikt nie spostrzeżł jego ciężkiego kłopotu.

Ale dzień za dniem mijał, a choć Maciej codziennie

rano i wieczorem powtarzał swą modlitwę do św. Antoniego, choć codziennie zaglądał na nowo we wszystkie kąty, pierścienia nie było.

Lecz wciąż starał się zachować ufność. Jeszcze trzy dni czasu! Św. Antoni pomoże napewno!

Lecz i ten dzień mijał bez skutku. Ufność jego zaczęła się chwiać i na nowo ogarniała go rozpacz. Już tylko dwa dni czasu. —

Jeszcze raz chciał z całą ufnością zwrócić się do św. Antoniego, jedynego swego powiernika.

Gdy upadł na kolana przed jego obrazkiem, przysłała mu nowa myśl do głowy:

Zawieszę obrazek św. Antoniego na drugiej lipie, naprzeciw obrazu Matki Boskiej, na znak mej ufności i poproszę siostry, by dziś razem ze mną po modlitwie do Matki Boskiej i do niego się pomodliły.

Wziął za czią obrazek, pobiegł po drabinę i przystawił ją do lipy.

Wybrał piękne miejsce na pnju i podniósł młotek, by wbić gwoździ, gdy młotek wypadł mu z ręki. Nad nim między konarami lipy coś zabłyszczało.

Tutaj w szczelinie starego pnia, sroki miały nieznaną nikomu kryjówkę i tam schowały pierścień.

O jakże Maciej gorąco dziękował św. Antoniemu za tę cudowną pomoc i jak szczerze mu przyrzekł, nie tracić już nigdy ufności w jego łaskawe wstawiennictwo.

H. K.

Gdy zwątpił

Każdy pewno, kto przybędzie do Ratyżbony (Regensburg) i zwiedzi wielki tum, stanie zdziwiony i poruszony przed dziwnym krucyfiksem, na którym Zbawiciel ramiona, oderwane od belek krzyżowych zwiesza w dół. Pięćset lat minęło od czasu, jak przyjął tę postawę, a stało się to wśród wstrząsających okoliczności.

Stał wtenczas ksiądz w wysokim tumie przed ołtarzem, aby odprawić świętą ofiarę mszy. Ofiarowanie, Sanktus, minęły już, tajemnicze słowa przemienienia były już wymówione nad białą, czystą hostją. I rozmodlony padł lud na kolana przed najświętszym Ciałem Pana podniesionem wysoko w rękach kapłana.

Zowu pochylił się ksiądz nad ołtarzem, aby wymówić słowa konsekracji nad kielichem wina. Wtem odrazu odrywa się w jego duszy zwątpienie, czy do prawdy wystarczy jego proste słowo kapłańskie, by zmienić wino w Krew Pańską?... Przerazono opamiętał się. O Boże w wysokości, jakżeż on mógł zwątpić!

„Nie, nie, wierzę! Ty powiedziałeś — Twoje słowo, to prawda.“

A jednak — zwątpienie nie opuszcza go. „Jakże, jeżeliby pozostało winem i podniósłbym je ludowi do uczczenia — nie byłoby to strasznym, okropnym oszustwem?!...“

Z drżeniem wymawia tajemnicze słowa — z obawą waha się podnieść kielich, spogląda zrozpaczony na krucyfiks nad ołtarzem i — to, co widzi tamuje mu krew z przerażenia. Patrzy, prawa ręka Zbawiciela odrywa się wolno od gwoździa, ramię spuszcza się po belce krzyża, potem prawa ręka... Oba ramiona zwieszają się jak wiotkie gałęzie wierzby płaczącej i teraz — o przerażenie i cud! — sięgają po kielich na ołtarzu! i powoli go podnoszą, — ofiarując go w miejsce kapłana Ojcu Niebieskiemu! Świętą Krew, która kiedyś polała się z tętnic tych ramion i rąk!

Struchlały z przerażenia i obawy patrzył wszystek lud na to zajście z oczyma rozszerzonymi strachem. Rozbrzmiewa głośny płacz, krzyk, łkanie. Niejeden omdlewa ze wzruszenia. Inni głośno wyznają swe grzechy i wołają miłosierdzia. Jak morze zburzone rośnie krzyk, płacz i modły, drżą granitowe filary tumu.

Ksiądz jednak, jakby sparaliżowany przerażeniem, padł na kolana. Kurczowo trzyma się ołtarza, by nie paść na ziemię.

„O Panie, miłosierdzia! Przebac mi moje zwątpienie“, szepce on w głębokiej skrusze. „O Jezus, przebac mi, biednemu grzesznikowi! Niegodny jestem dokończyć świętej ofiary“.

Wtedy spuszcza się wznesione ramiona, i na znak przebaczenia Zbawiciel własnymi rękoma podaje głęboko wzruszonemu i skruszonemu księdzu kielich.

Ramiona ukrzyżowanego pozostały jednak głęboko spuszczone na wieczną pamiątkę; i nikt nie odważył się ich dotknąć.

Od tego czasu ów kapłan stał jak serafin u ołtarza, płonął szacunkiem, nabożnością i miłością. Nigdy już żadne zwątpienie nie poruszyło jego żywej wiary. Bo wielki cud dowiódł mu, że Eucharystia jest prawdziwie Ciałem i Krwią Pana naszego, Jezusa Chrystusa

H. B.

W Hiszpanji r. 1808

(Z pamiętnika kapitana Jana Kierzkowskiego.)

„Piąty korpus wielkiej armji przeszedłszy Bajonnę, Witorję, Burgos, otrzymał rozkaz obleżenia Saragossy. Było to miasto wielkie, dobrze i mocno oszańcowane na sposób Warszawy.

Obleżenie trwało prawie całą zimę, dopiero w końcu lutego wzięto miasto szturmem. Polacy wiele przytem ucierpieli, bo z Francuzami oblegali to miasto. Jenerał hiszpański Palafox tak dobrze się bronił, że, chociaż połowa miasta była w rękach Francuzów, nie chciał kapitulować; dopiero, gdy przedmieście, po drugiej stronie rzeki Ebro, było wzięte, że już wody przybrakło i choroba przyciskała Palafoxa, dopiero kapitulacja nastąpiła. Francuzi 15 tysięcy odesłali niewolnika do Francji, 300 dużego kalibru armat.

Pierwszem obleżeniem kierował marszałek Monsey, ale nie mógł zdobyć Saragossy. Drugiem komenderowali marszałkowie Lannes i Mortier. Hiszpanie bronili się walecznie, poświęcając wszystko, nawet małe dzieci. W całej Saragossie wszystkie drzwi do wszystkich kamienic były od ulicy zamurowane, a okna zabezpieczone żelaznymi kratami. Baterje usypali hiszpanie wzdłuż ulic. Kiedy jedną stracili, to z drugiej na nowo bili. Wojsko i mieszkańcy porobione mieli dachami z kamienicy do kamienicy przejścia tak, że jednym szeregiem awansować lub reterować mogli. Ze wszystkich stron do naszych strzelali, musieliśmy budynek za budynkiem brać szturmem. „Gdyśmy po kapitulacji do miasta wchodzili, musieliśmy nosy pozatykać od fetoru, jaki był z ludzi, koni i mułów zabitych, bo to wszystko nie było grzebane, tylko czarne, jakby w smołę zlane. Lud, gdy wychodził z różnych sklepów, aby umyć się w rzece, strach było na niego patrzeć. Wyglądali, jakby z trumien powstałi.“

Marszałek Mortier stał główną kwaterą o pół mili od Saragossy, we wsi Villa Major. W czasie tej blokady zebrało się 5 tysięcy w górach powstańców, dowodzonych przez samych księży, podstapili ku Saragossie, aby odcinać i zabierać żywność. Marszałek Lannes rozkazał Mortierowi, aby wziął dywizję piechoty, z artylerją do niej należącą, nadto dwa pułki lekkiej kawalerji, 10 pułk huzarów i 21 szaserów konnych, wreszcie 150 ułanów polskich z 7-go pułku Komopki. Temi dowodził szef szwadronu Klicki.

„Wyruszyliśmy w nocy, aby wczesnym rankiem podejść powstańców. Z brzaskiem dnia, w pierwszej wiosce zabarykadowanej, spotkaliśmy samych pieszych partyzantów. Do naszej awangardy konnej zaczęli strzelać z poza barykad. Marszałek Mortier, aby im od-

ciąć odwrót w góry, kazał 10-mu pułkowi huzarów awansować po prawej stronie wioski, a szaserom i ułanom naszym po lewej stronie nacierać. Piechota i artylerja, wystrzeliliwszy razy kilka z armat do barykad, weszła do tej wsi. Powstańcy chcą w góry uciekać, ale kawalerja nasza im zabiega.

O małe pół mili drogi w innej wiosce, stała znaczna siła powstańców. Mieli 5 armat, uszykowani byli w jedną linię, od tej wsi prawem skrzydłem, a lewem dotykali klasztoru na wielkiej opoce. Piechota francuska awansowała prosto na ich baterje, wołyżerowie nasi zbliżali się do samej góry. Hiszpanie zaczęli prażyć działami. Artylerja francuska wystrzeliła z kilkunastu dział, wtedy Hiszpanie uciekli w góry, zostawiając swoje armaty, piki i inną broń.

Kawalerja nasza już przebiegła wioskę. Kierzkowski daremnie szukał przewodnika, żywego ducha we wsi nie było. Naraz usłyszał w krzakach kwilące dziecko. Dojechawszy tam, znalazł czteroletniego chłopczynę, ranionego w prawą rączkę kulą karabinową. Znając już nieco język hiszpański przemówił do dziecka kilka słów.

Chłopczyk zaraz zbliżył się do jeźdźcy. Kierzkowski wciągnął go na konia, posadził przed sobą, zdjął z szyji swoją chustkę czarną, opatrzył mu ranę, która szczęściem była lekka, bez naruszenia kości. Wróciwszy do wsi, zameldował marszałkowi, że w całej wsi nie mógł znaleźć przewodnika, natomiast znalazł w górach ranionego chłopczynę. Zdziwił się marszałek, niezwłocznie kazał swemu lekarzowi przybocznemu opatrzyć dziecko.

Ponieważ korpus pozostał we wsi przez noc, Kierzkowski zatrzymał chłopca w swojej kwaterze. Kazał ordynansowi swemu nakarmić sierotę mocnym rosółem, poczem chłopczyna usnął smacznie. Zaczny nasz rodak przemysliwał, co zrobić z maleństwem. Niepodobna było pozostawić je we wsi zupełnie opuszczonej tem bardziej, że Francuzi, na odchodnym, mogli wieść podpalić. Ostatecznie zawiózł chłopczyka na swoim koniu pod Saragossę.

Sierotka już nie wołał padre! ani madre!, widocznie bawiła go podróż, chociaż rączka bolała. Gdy stanęli w kwaterze, w Villa Major, Kierzkowski doglądał chłopca, jak rodzzonego. Rana goiła się szybko, zresztą malec miał wszelką wygodę, bo Kierzkowski dbał więcej o niego niż o siebie. Czasem w nocy, gdy śpiący uraził się w rączkę, płakał:

— Ne kieres ciko? (Co chcesz, dziecko?) — zapytywał go nasz wiarus.

— Malo... (boli) — odpowiadał chłopiec.

Dnia pewnego ordynans przyniósł Kierzkowskiemu małe jagnię żywe, zamiast zwykłej racji. Kierzkowski puścił je na pokój, zaczęło beczeć. Chłopiec dalejże się bawić z jagnięciem. Nasz wiarus rzekł do ordynansa:

— Choćby nam z głodu przymarzyć przyszło, tego jagnięcia nie zabijaj.

„Zdawało mi się, że kiedy ten chłopczyna płakał w krzakach, to też jagnię beczało przed swoją śmiercią; dla tego podobieństwa kazałem jagnię zostawić przy życiu, karmić rozmoczonymi dobrze sucharami, jak polewkę, a jeszcze trawą z młodego jęczmienia. Zajadało z apetytem. Chłopczyna i jagnię byli dla mnie uciechą i zabawką, bo to dziecko po hiszpańsku do tego jagnięcia zawsze gadało, jakby do drugiego dziecka, razem sypiali na jednym łóżku, na dwóch materacach i po pokoju jedno za drugim biegalo. Jagnię się przyzwyczaiło do chłopca, jakby do jagnięcia drugiego, a dziecko wcale do rodziców nie tęskniło.“

Kierzkowski wystarał się o kabriolet na dwóch kołach, lekki, wygodny, resorowy, do którego wsiadało

się z tyłu. Okna szklane i żaluzje zamykały się. Można było doskonale w nim spać. W owym kabrioletcie trzymał chłopca z jagnięciem.

Przez miesiąc z górą nikt się o dziecko nie zapytał. Nadeszła wiadomość, że około miasteczka Pragi zbierają się powstańcy. Marszałek Mortier podążył tam ze swoją siłą. Kierzkowski miał zawsze dwóch ordynansów i sześć koni. Zostawił przeto na kwaterze jednego ordynansa, 3 konie, dziecko i jagnię. Ordynans był człowiekiem dobrym, wiernym, uczciwym, można było mu zaufać. Wracając z Pragi oddział zatrzymał się w tej samej wsi, gdzie wiarus nasz znalazł chłopczyne. Mieszkańcy już byli powrócili do domów swoich, wyszli naprzeciwko wkraczających Francuzów z białą chorągwią, na znak, że już są spokojni, i że ulegają prawom nowego monarchy. Kierzkowski i wtedy przy pomocy alkada miejscowego, odnalazł rodziców chłopca.

„Zapytałem się ich, dlaczego dziecko same, ramione, zostawili? Odpowiedział ojciec tegoż, że uchodząc ze wsi, niósł chłopczyne na ręku; już był pod górą, Francuzi strzelali i kula trafiła dziecko; dla ocalenia swego życia, żeby po krzyku dziecka Francuzi go nie złapali i nie zabili, pozostawił chłopca w krzakach, sądząc, że rana śmiertelna, a sam uciekł w góry. Wielką radość okazowali rodzice, w nogi mnie całowali za ocalenie dziecka.“

Nazajutrz Kierzkowski zaprowadził odnalezionych rodziców do kwatery swojej w Villa Major. Kazał się im zatrzymać, żeby wprzód zawiadomić chłopca, iż jego padre i madre przyszli. „Skorom wszedł do pokoju, chłopczyne biegnie do mnie, za rękę chwyta, cieszy się, żem przybył. Przez kilka dni nie widział mnie, więc tęsknił nieborak. Obchodził mnie dokoła i mówił:

— A, senior mio venuto! (A, pan mój przyszedł!)

Służący powiedział mi, że po moim odjeździe chłopiec cały wieczór płakał, nic jeść nie chciał, wciąż dopytował.

— Donde est senior mio? (Gdzie mój pan?)

Rodziców nie poznał zrazu, zbliżył się do mnie, jakby się czegoś lękał. Matka z płaczem wzięła go na ręce, ojciec ścisnął i całując swoje dziecko i powtarza:

— O mio caro Antonio! mio cico!

Łzy mi w oczach stały; żal mi było chłopczyne, że się z nim na zawsze rozłączyć muszę, bo, będąc oddalonym od małżonki i dzieci, które nad życie kochałem, z tęskności przywiązałem się do niego. Przez dni kilka brakowało mi dziecka — nie miał mi kto szczebiotać; nawet i biedne jagnię bez niego tęskniło, bezustanku beczało i biegało po łąkach szukając go, gdyż nieraz grało z nim w chowanego“.

Opowieść przytoczona świadczy, że wbrew ogólnemu mniemaniu nawet okropności wojny nie zepsują tego, kto posiada serce czułe na niedolę bliźnich.

O biednej kobiecie, biskupie Gedeonie i królu polskim

I znów w Polsce źle się dziać poczęło. Bolesław Krzywousty zostawił pięciu synów, między czterech dzieląc Polskę z tem, żeby tylko jeden miał władzę nad wszystkimi. Pierwszy był Władysław II, którego bracia wyrzucili wreszcie z Polski, drugim Bolesław, zwany Kędzierzawym, ale i temu się nie wiodło, bo musiał Śląsk oddać synom Mieczysława, bo tego zażądał cesarz niemiecki, grożąc wojną, pozatem nieszczęśliwie wojował z Prusakami, wreszcie po jego śmierci panowanie objął Mieczysław III zwany Starym, i o nim chcę wam opowiedzieć.

Otóż Mieczysław miał złych urzędników. Ci nakładali tak wielkie podatki na lud, że zabierano zboże, bydło, a ludzie żyli w nędzy.

— Tak dalek być nie może — mówili ci starsi między sobą — jak syn jest głodny, bo matka miast mu jeść dawać, dla siebie wszystko bierze, to czyż można taką matkę kochać. Czyż można kochać takiego króla, który nie tylko sam nie broni od rozboju i uciemnienia poddanych, ale jeszcze ku temu pomaga.

I zniechęcono się do Mieczysława, bo ten coraz to większych danin żądał, coraz mniej zboża i trzody na potrzeby ludności zostawiał.

— Wypędzić go z kraju — co najzawziętsi wołali — jeśli włodarzuje źle, to takiego nie chcemy, król opiekunem ma być a nie katem.

— Mnie z komory wczoraj ostatni len urzędnicy jego zabrali — skarżyła się ze łzami niewiasta, wdowa po Zbychu, co w walce z prusakami poległ. — Drobiazgu mam sześcioro, a czem je wyżywię?

— Mnie ostatnią krowinę z obory za podatki zabrano — zawołała Małgorzata Mieszkowa, co sadybę miała małą i ledwo koniec z końcem związała.

— A moje dzieci od rana na polu pańskim pracują a doma niema kto pracować — dodała trzecia.

I jeden przez drugie żale poczęli wywodzić na niesprawiedliwość królewską, ale rady żadnej nie znaleźli.

— Do biskupa trza nam iść — zawyrokowali starsi, — dobrego a litościwego jest on serca, i napewno pomoże, a kto wie i na króla wpłynie, aby nas nie uciemniał.

— Wybrali się więc do Krakowa, do biskupa Gedeona, którego znali, że sprawiedliwy jest i ma uszy na ludzkie skargi otwarte.

Biskup wysłuchał ich cierpliwie, wypytywał, co biedniejszym grosza dał trochę i do króla na zamek pospieszył.

— A nie poszedł sam, tylko niewiastę wziął ze sobą, właśnie ową żonę Mieszka i do króla tak powiada:

— Krzywda spotkała twoje dzieci królu. Oto ta niewiasta po sprawiedliwość przyszła.

I począł opowiadać, jak to żona Mieszka synowi oddała całą swą trzodę, a ten tylko z owiec wełnę strzygł, nie pilnował ich i wilki poczęły trzebić biedne bydła... — I widząc — kończył, — że źle włodarzuje, chce mu bydła odebrać i komu innemu je oddać, bo krzywda się dzieje boskiemu stworzeniu.

Król pomyślał trochę, wreszcie rzekł:

— Rację ma kobieta. Jeśli nie umie dobytkiem zarządzać, sprawiedliwie jest, aby go usunięto. Wydam zaraz rozkaz, aby oddał bez sprzeciwu trzody, a któżby je objął?

— Królu — odpowiedział biskup poważnie. — A czy to dobrze włodarzujesz państwem? Polska oddała ci swoich synów, a ty wilki na nich puszczasz. I giną poddani, przeklinając swego ojca, nie mając dość pożywienia dla swoich dzieci. Tyś jest tym złym synem, co trzódka swą źle włodarzujesz i puszczasz wilki do owczarni.

Zdawało się, że król się poprawi, zwolni podatki i nieuczciwych urzędników usunie, ale choć biskup przemawiał gorąco i zdawało się, że król go posłucha, nie się w kraju nie poprawiło. Wtedy to biskup widząc, że innej rady niema, pojechał do Sandomierza, gdzie mieszkał najmłodszy syn Bolesława, Kazimierz i w imieniu ludu ofiarował mu koronę. Wzbraniał się książę przeciw bratu występować, ale gdy mu biskup przedstawił ciężkie położenie Polaków, zgodził się zostać królem i do Krakowa pojechał, gdzie go jak zbawcę witano. Mieczysław widząc, że go wszyscy odstąpili, usunął się.

I tak się poczęło panowanie Kazimierza w r. 1177, którego lud nazywał sprawiedliwym.

Zofja Gilińska.